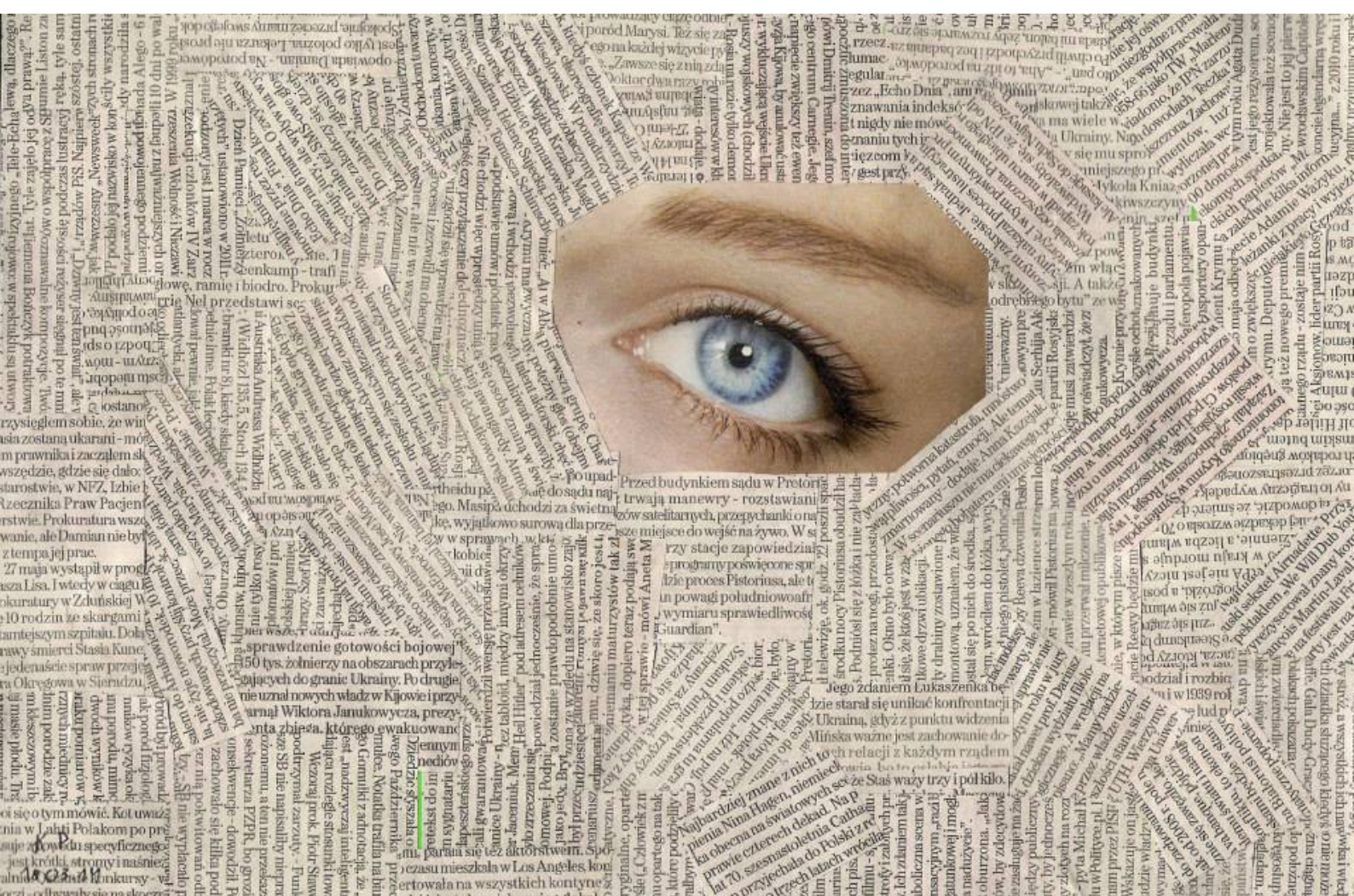




Julij Burkin "Diamentowy chłopiec"

Fahrenheit Crew

Jak tylko go zobaczyłem, poczułem się nieswojo. Nie to, żeby mi się nie spodobał... Co on – dziewczyna, żeby się mi podobać? Nie, po prostu coś było z nim nie tak. W czym rzecz – zrozumiałem później. Przyciągnął go starszy pomocnik Filippow, dosłownie pod sam koniec załadunku.

- Ten – mówi – poleci z nami.

Chłopak z wyglądu miał siedemnaście lat, nie więcej; Mulat albo Kreol.

- A u ciebie w domu wszyscy zdrowi, Fil? – pytam. - Jaki z niego będzie pożytek? Waży z osiemdziesiąt kilogramów! Przemnóż to przez jedenaście tysięcy trzysta dwadzieścia dwa i zobaczysz, ile baksów tracimy z powodu takiej rozrzutności. Przecież on staje się dla nas złoty! Co ja mówię, złoty? Diamentowy! Nawet nie pytam o zapłatę za przejazd, bo skąd on w ogóle może mieć kasę, chyba nawet szkoda o tym mówić?

Proste: jeśli weźmie się pasażera, to o tyle, ile on waży, załaduje się mniej pyłku. Droga sztuka ten pyłek centauryjskiego papirusu. A jak może być tani, skoro leczy raka, mięsaka i AIDS, a wlec go trzeba aż z samej Alfy?

- Przestań, dowódco, nie bądź pazerny – odparował Fil. - Skąpy dwa razy traci, słyszałeś o takim powiedzonku? Pieniędzy chłopiec oczywiście nie ma, ale w razie czego może nam pomóc. Tylko nie pytaj jak, dałem mu słowo, że bez wyraźnej potrzeby nie powiem. Weźmy go. Jako amulet.

To się nazywa „brać na lep”. W naszych sprawach „bezcłowo-handlowych” naród jest przesądny i przed żadnymi talizmanami-amuletami się nie wzbrania. Jeden ma pierścień czarodziejski, drugi – osobliwy zwyczaj, na przykład, obsusiać przed startem poszycie, inny – woreczek z ziemią rodzinną na piersi, a ktoś kota albo papugę za sobą ciąga. Ale żeby w tym charakterze smagłolice, centauryjskie chłopisko występowało – o czymś takim jeszcze nie słyszałem.

Chciałem już zapowiedzieć Filowi, że jeśli nie będzie z chłopaka pożytku, to stratę odejmiemy z jego doli, już nawet gębę otworzyłem, ale napotkałem spojrzenie chłopca i paszcza mi się zatrzasnęła. Co takiego szczególnego było w tym spojrzeniu? A to posłuchajcie dalej.

Wołano na chłopaka Lijecho, naszej mowy nie rozumiał albo udawał, że nie rozumie. Fil porozumiewał się z nim po hiszpańsku, a oprócz niego na pokładzie nikt tym językiem nie władał. Wystartowaliśmy. Weszliśmy w zerówkę. Tu, według subiektywnych obliczeń, powinniśmy lecieć około tygodnia. Nasza załoga standardowo obcięta – sześciu ludzi. Lijecho nadliczbowy na pokładzie. Lecimy. Ale to tylko tak się mówi: „lecimy”, a według odczucia – po prostu życie z nas ucieka. Wiecie o tym sami, bo dużo się pisze na ten temat i opowiada.

Lecimy. Zęby ćmią, skóra się łuszczy, mdli ciągle, biegunkę tabletkami dusimy, jeden drugiego nienawidzimy jak cholera. Do siebie obrzydzenie się czuje, a do innych tym bardziej. Męczymy się straszliwie, tylko Lijecho jakby się w zerówce urodził – herbatkę popija, stereo słucha, podśmiewa się, widocznie jest tam jego ścieżka językowa. Moich pomału na jego widok zaczyna trząść. Dzień, dwa, trzy... Modest – pilot-nawigator – pewnego razu wpadł we wściekłość. W porze obiadu. Nic nie mógł przełknąć, a nasz pasażer przeciwnie: pałaszował, napychając sobie policzki jak chomik. Modest długo mu się przyglądał i w pewnym momencie się rozdarł:

- A my co, kapitanie, najęliśmy się do wożenia tej małpy?! Czyżbyśmy, taka twoja mać, mieli jacht

wycieczkowo-rozrywkowy?!

Chciałem się odezwać, ale nie zdążyłem, ponieważ Lijecho tylko na niego spojrzał i Modest natychmiast się zatkał. Pomyślałem: czy ten Mulat na pewno nie zna naszego języka? Ale Modest ucichł nie na długo. To nie to, co ja. Modest nawet w dobrych czasach to perfidna i złośliwa bestia. Posiedział chwilę, popatrzył, jak chłopak żre, potem nagle pochylił się i trzepnął go leciutko po policzku. Ot tak, po prostu. Chyba z jakiejś drapieżnej ciekawości spowodowanej niezdrową atmosferą. Widocznie słyszał o Aborygenach to samo, co i ja.

Lijecho przestał żuć, odłożył widelec na stół, odczekał i wziął w prawą rękę nóż. Zamarliśmy w oczekiwaniu: bez tego pasażera dotrzemy jakoś do celu, ale bez nawigatora – czapa. Ale Mulat nie rzucił się na sprawcę obelgi. Wprost przeciwnie. Lekko odchylił się na oparcie fotela, a koniuszki trzech palców lewej ręki, bez serdecznego i małego, położył na brzeg stołu. Potem popatrzył Modestowi w oczy, i nie odwodząc wzroku, machnął nożem i odciął sobie te palce.

Co tu się działo! Jucha chlaszcze z kikutów, my w panice, Fil rzucił się do chłopaka, rękę mu do góry podniósł i krzyczy: „Bandaż! Szybko dajcie bandaż!..”. Hassan i Fat rzucili się do latryny rzygać, ja popędziłem po apteczkę... Jeszcze kątem oka dostrzegłem, jak Modest pada bez świadomości, uderzając przy tym głową o stół, a jego przyjaciel Kopysz rzuca się mu na ratunek.

* * *

Oto jak wesoło lecieliśmy do celu. W tym czasie zacząłem przypominać sobie opowieści o Aborygenach. Chociaż jacy z nich Aborygeni, to potomkowie zwykłych uchodźców. Generator zerówek został wynaleziony w czasie wojny i wielu Ziemian rzuciło się wtedy w odległe zakątki kosmosu. Bez nawigacji, bez gwarancji, że znajdą tam coś nadającego się do życia, bez możliwości powrotu na Ziemię, bez pewności, że może jeszcze ktoś do nich dołączy. Z jedną tylko nadzieją, że nowe światy będą gościnniejsze niż rodzimy, objęty pożogą. Wielu zginęło, ale niektórzy znaleźli jednak swoją Ziemię Obiecaną i teraz od czasu do czasu na nich natrafiamy. Najczęściej zdziczałych, czasami – bytujących w żalosnych, feudalno-chłopskich społecznościach. A już niezmiernie rzadko na tych, którzy zbudowali coś przyzwoitego.

Na Alfie Aborygeni niczego sensownego nie zbudowali. Drewniane domy na palach pośrodku bezgranicznych bagien i prymitywne, ubogie gospodarstwa. Ale słyszałem bajki, jakoby oni zupełnie nie bali się bólu. Nie to, że go nie czują, ale po prostu nie boją się i tyle. I śmierci się nie boją, jakby ich instynkt samozachowawczy całkiem zaniknął. Pamiętam, kiedy mi o tym opowiedziano, nie uwierzyłem, mówiąc: „Niemożliwe! Przecież oni dawno by już wymarli. Taki w bagnie będzie tonąć, nie starając się wydostać, albo ktoś podejdzie do niego i zadusi gołymi rękami, a on nawet nie piśnie”. „Nie – mówią mi – źle myślisz. Oni są bardzo dumni. Wszystko u nich opiera się na dumie i uczciwości”.

Nie twierdzę, że nie uwierzyłem, ale było mi to po prostu obojętne. No jeśli dumni, to ich sprawa, mnie nic do tego. Teraz, kiedy na własne oczy zobaczyłem historię z palcami, przypomniałem sobie całą tę gadaninę. Mówią, że nie biorą ich do wojska, ponieważ nie słuchają rozkazów, i że wszystkiemu winny jest pyłek papirusowy, którym ich w dzieciństwie na równi z mlekiem macierzyńskim napychają, przy czym normalny człowiek od dawki niewiele wyższej od leczniczej może wyciągnąć kopyta... Ale nadszedł czas, by powiedzieć, co zobaczyłem wtedy w spojrzeniu Lijecha. Było takie głębokie i puste jak próżnia, obojętne, że aż ciarki po skórze przebiegły...

Palce odrosły chłopcu w ciągu doby. Moi starali się z nim nie stykać bez powodu, a Modest zrezygnował z jedzenia ze wszystkimi i zaszył się w swojej kajucie. Pozwoliłem mu na to. Nawet byłem zadowolony. A już po dwóch dniach wyszliśmy z zerówki na pochłaniacze i tu nas nakryli. W

tym momencie przekonałem się, jak dobrze postąpiłem, zabierając Lijecha na pokład. Gliny siadły nam na ogon natychmiast, jak tylko ukazaliśmy się w realu. Nie zamierzali się z nami cackać i zaczęli walić ze wszystkich dział. Ładunku im nie żal, zresztą, nawet się nie interesują, co mamy i skąd, są nastawieni na zniszczenie, by innym się odechciało. Żeby nie liczyli na szczęście, by wiedzieli, że przemytnik i trup to synonimy.

Ale nasza łajba nie pierwsza lepsza, też nie łatwo ją pokonać, bo to dawny torpedowiec. Też mamy swoją broń. A po drugie – warto chociaż namieszać na ostatku. Jak już wpadliśmy, nigdzie się nie podziejemy. Ale i poddawać się nie ma sensu: zgodnie z instrukcją, zdaje się, egzekucja na miejscu. Może pasażera ułaskawia, jeśli w porę się zorientują.

Już trzesczą nadwerężone pokłady i wszyscy żegnamy się z tym światem. Syreny wyją jak opętane, powiadamiając o kolejnych dziurach, rzezi swoje ostatnie drapieżne przekleństwa Modest, którego system nerwowy jest teraz spięty z pokładowymi regulatorami... I kiedy nawigator zerwał z głowy hełm i wykrzyczał: „Już dłużej nie mogę!”, Fil podprowadził do jego fotela Lijecha. Po kiego diabła?!, sprzeciwiłem się w duchu, nie zdejmując palców ze spustu, ale natychmiast pomyślałem: A dlaczegożby nie? Jaka teraz różnica?

Chłopak założył hełm i zamknął oczy. Statek drgnął i wykonał tak bezmyślny i dziki manewr, że mój żołądek zlepił się z mózgiem i wyłączył świadomość. Chociaż niezupełnie, ale jakbym wpadł w jakieś zamroczenie – pośrednie między omdleniem i szokiem. A Lijecho bez ustanku kręcił statkiem i w pewnym momencie nawet ukrył się na moment w zerówce, by po chwili znów wyskoczyć w rzeczywistość. O takim czymś nie miałem pojęcia i nie myślałem, że można wykorzystać do tego nasz takielunek – a niech cię...

Zapamiętałem jeszcze jeden dziki moment, jeszcze jeden szalony obrazek, który zobaczyłem, zanim kolejny raz wypadłem ze świadomości. Fil klęczy przed Lijechem, i czerpiąc łyżką z rozerwanego worka, pcha w usta naszego świeżo objawionego pilota-nawigatora pyłek, a ten żuje tę truciznę, nie otwierając oczu. Na czole coś mu pęka i krew fontanną bryzga na sufit. Ręce nadal kręcą dźwistikami.

* * *

...Wyszliśmy z pułapki. To był prawdopodobnie pierwszy taki przypadek w historii, kiedy wpadający w zasadzkę statek z przemytem uszedł pościgowi. Modest, kiedy wszystko się uspokoiło, podpełzł do fotela Lijecha, i płacząc, całował jego martwe ręce.

* * *

Fil powiedział mi potem:

– Diabelnie żal. Myślałem, że jednak do tego nie dojdzie. Zdradził mi, że teorię zna w najdrobniejszych szczegółach i jeśli będzie zawierucha, on nas wyprowadzi. Powiedział też, że wówczas najprawdopodobniej zginie. Świadomość ich rasy nie ma hamulców. On nie połączył się po prostu ze statkiem, ale stał się nim. Jego marzeniem było polecieć gdziekolwiek.

* * *

Ciągle myślę, że może świat stałby się lepszy, gdyby nas wszystkich w dzieciństwie karmiono pyłkiem centauryjskiego papirusu. Gdybyśmy wszyscy byli takimi, jakim był nasz diamentowy chłopiec. I nic nie stracilibyśmy, żyjąc w drewnianych domach nad bagnami.

Tłumaczenie: [Tadeusz Rubnikowicz](#)

Julij Burkin

Pisarz, poeta i muzyk. Urodził się 29 marca 1960 r. w Tomsku. Ukończył filologię na tamtejszym uniwersytecie, potem pracował jako dziennikarz. Jeden ze współorganizatorów tomskiego konwentu „Urania”. Wychowuje dwóch synów.

Zaczął pisać jeszcze na studiach. Debiutował w 1988 r., na łamach ukazującego się w Mińsku pisma „Parus”, opowiadaniem „Пятна грозы: . Pierwsza książka – zbiór „Бабочка и Василиск” – wydana została w 1994 r.

W 1992 r. za namową przyjaciela przeprowadził się do Ałma-Aty, tam, w redakcji Kazachstańskiej Prawdy, poznał Siergieja Łukianienkę, co zaowocowało trzema mikropowieściami, które następnie weszły w skład powieści „Остров Русь”.

Zainteresowania muzyczne znalazły odbicie w jego twórczości (powieść „Осколки неба, или Подлинная история „Битлз””, poświęcona Beatlesom – wspólnie z Konstantym Fadiejewem, czy inna powieść – „Бриллиантовый дождь” – o losach najpopularniejszej grupy rockowej przyszłości – Russian Soft Star's Soul).

Trzykrotnie nagradzany (Strannik 1996 i 2001, Urania 2001), trzydzieści dziewięć! razy nominowany do wielu nagród.

Julij Burkin jest autorem i współautorem kilku cykli, wielu powieści i mikropowieści, opowiadań, a także prac poświęconych muzyce. Obecnie (listopad 2013) przygotowuje antologię noworocznych bajek dla dzieci.

Blog Julija Burkina <http://burkin.livejournal.com/>

Oficjalna strona: <http://burkin.rusf.ru/>